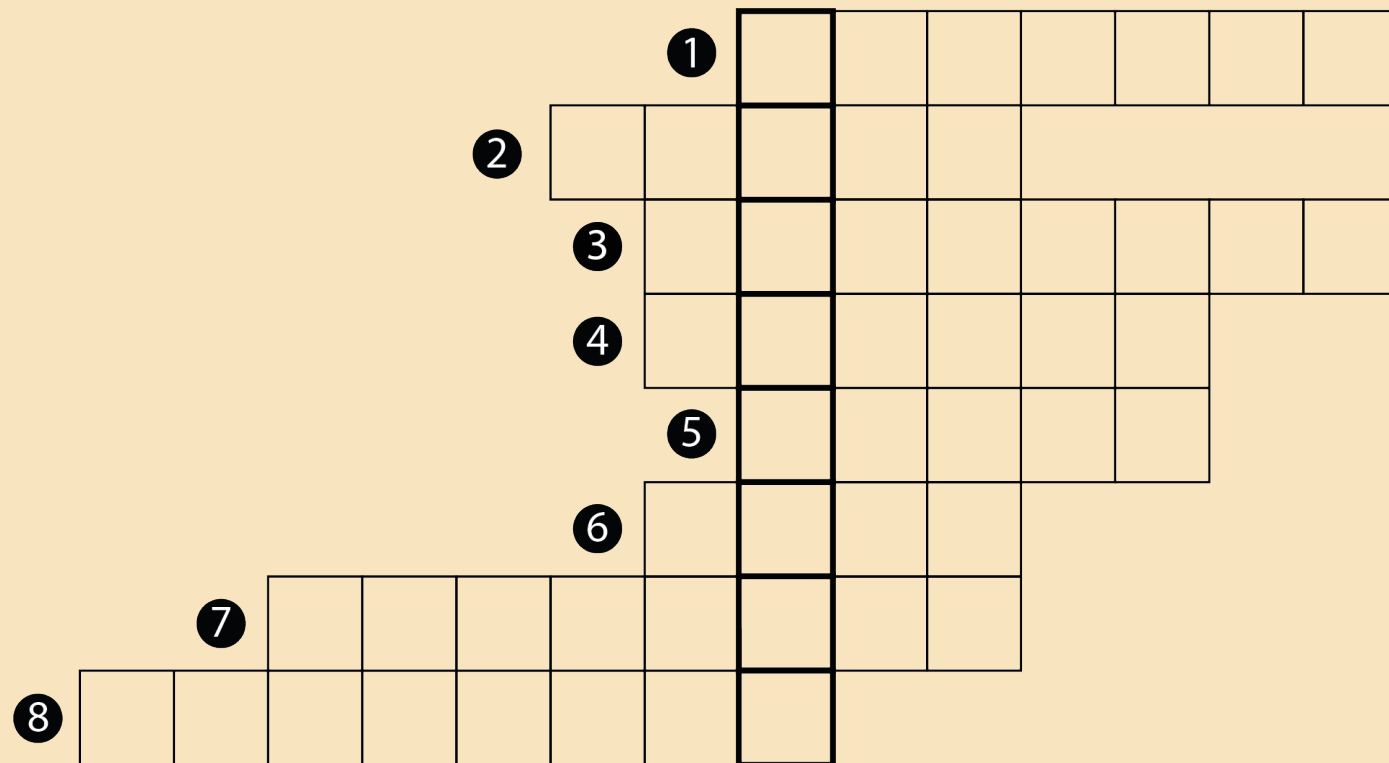


W mieście zapanowała ZARAZA...



1. Jakie zwierzęta przenosiły zarazę?
2. Na podstawie jakiej powieści stworzono spektakl?
3. Jaka choroba dręczyła żonę Pani Rieux?
4. Jaki tytuł naukowy nosiła główna bohaterka?
5. Co wywoływało chorobę u mieszkańców?
6. Ilu aktorów występowało w spektaklu?
7. Co doskwierało mieszkańcom miasta najbardziej, oprócz choroby, kiedy zaraza osiągnęła apogeum?
8. Jak nazywa się zjawisko ponadprzeciętnej zachowalności ludzi w określonym czasie na określonym terenie?

Czy wiesz, że...?

- spektakl „Tchnienie” jest debiutem reżyserskim w zawodowym teatrze repertuarowym Grzegorza Małeckiego, laureata SPECJALNEJ NAGRODY AKTORSKIEJ zeszłorocznych Kaliskich Spotkań Teatralnych, którą otrzymał za rolę Ułana w spektaklu „Fatalista. Singerowska historia w V aktach” z Teatru Dramatycznego m. st. Warszawy

- w wystawie “Have nice cry!” wykorzystywane zostały przedmioty, z którymi artyści wiążą osobiste historie, jak np. fotel, znajdujący się pod papierowymi łzami, to autentyczny fotel terapeutyczny z gabinetu psycholożki, która prowadziła terapię autora wystawy, Bartosza Zimniaka
- podobno słowo “zaraza” w przeszłości odnosiło się wyłącznie do chorób roślin i zwierząt, lecz z czasem weszło do języka polskiego jako kolokwialny synonim epidemii

Wszystko będzie dobrze
Nie wszystko
Nie będzie
I wszystko niedobrze
Się zdarzy
Lecz

Tracąc
Zyskujesz
Zamknawszy
Otwierasz

Odwagi
Idź

_____ @nawiasem_mowiac

SPOTKALNIK

Oswajanie pandemii

Z Bartłomiejem Cabajem rozmawia
Justyna Szczepaniak

JS: „Dżuma” Alberta Camusa, na której podstawie powstała „Zaraza”, to tzw. powieść paraboliczna, a zatem przedstawione w niej wydarzenia zyskują wymiar uniwersalny, metaforyczny. Tytułowa dżuma może być interpretowana jako wojna, co w kontekście rosyjskiej agresji na Ukrainę wybrzmiewa dziś w sposób szczególny, ale też jako samo tkwiące w człowieku zło. Na podstawowym poziomie tekst jest jednak oczywiście opowieścią o dżumie-chorobie, i w taki sposób zazwyczaj funkcjonuje w świadomości odbiorców. Jak pracuje się nad spektaklem o epidemii w czasie prawdziwej pandemii? Jakie emocje temu towarzyszą?

Bartłomiej Cabaj: Przez to, że pandemia wybuchła w momencie, w którym pracowaliśmy nad spektaklem, to chyba o niej samej aż tak dużo nie myślałem. Ona się po prostu wydarzała. Bardziej zastanawiało mnie wtedy, jaki będzie odbiór przedstawienia – w trakcie i po czymś, co tak bardzo nas wszystkich zmienia, i z czym jeszcze nie potrafimy sobie poradzić. To była moja główna zagwozдка. Dochodziły do mnie potem słuchy, że widzowie traktują nasz spektakl trochę jak element procesu osławiania się z pandemią. Przeżycie tych wydarzeń w scenicznym dystansie pozwalało im je może nieco lepiej zrozumieć, wyraźniej dostrzec pewne rzeczy.

JS: Nasz stosunek do pandemii zmieniał się w zależności od jej etapów. Podobnie ewoluowały też postawy bohaterów spektaklu wobec zarazy. Grany przez Pana dziennikarz Raymond Rambert początkowo za wszelką cenę próbował wydostać się z zamkniętego z powodu zarazy miasta, ale z czasem dołączył do jednej z organizacji sanitarnych, by nieść pomoc chorym. Czy w czasie eksploatacji spektaklu nastąpiła jakaś zmiana w jego odbiorze przez publiczność? A może Pana stosunek do roli i samego przedstawienia ewoluował?

BC: Na pierwsze pytanie niestety nie jestem w stanie odpowiedzieć, ale rzeczywiście, mój stosunek do roli trochę się zmieniał. Pandemia spadła na mnie tak samo nagle, jak zniknęła. Dystans, którego do niej nabrałem, a mam to szczęście, że nie wyrządziła ona w moim prywatnym życiu jakichś ogromnych szkód, przełożył się również na postać Ramberta. Teraz stało się dla mnie to wszystko jakąś fikcją lite-



racką, obcym światem, który mnie aż tak mocno nie dotknął, choć oczywiście widziałem, co się dookoła działo i to odczuwałem. „Zaraza” jest spektaklem trudnym, szczerym i oczywiście bardzo aktualnym, bo mówi też o tym, co się z nami dzieje po tym doświadczeniu i jak sobie to wszystko znowu poukładać.

JS: Ze sceny padają słowa że, parafrazując, aby poznać miasto, trzeba poznać jego mieszkańców. Udało się Panu już choć trochę poznać Kalisz? Jak się Pan w nim czuje?

BC: Jestem w Kaliszu po raz drugi. Pierwszego razu w ogóle nie pamiętam, bo przyjechałem na festiwal w ostatniej chwili, żeby zrobić szybkie zastępstwo za kolegę, który nie mógł wystąpić z powodu problemów zdrowotnych. Teraz miałem trochę więcej czasu na spacer, zwłaszcza że jestem tu z moim ukochanym psem, świetnym motywatorem do zwiedzania okolicy, która, muszę przyznać, jest zniewalająca, bardzo miła. Wyczuwam w Kaliszu jakąś otwartość. Wydaje mi się super miastem. Nie poznałem go jeszcze niestety zbyt dobrze, bo przyjechałem na festiwal, więc chciałbym obejrzeć też kilka innych spektakli, a próby i spotkania ze znajomymi zabierają jednak wiele czasu.

Po prostu się przytul!

Czyli o „Tchnieniu” Teatru Narodowego w Warszawie



Chapeau bas i pełen podziw dla zespołu Teatru Narodowego w Warszawie za „Tchnienie”, wywołujące u publiczności żywe emocje oraz budzące uśpioną potrzebę bliskości z drugim człowiekiem. I to z dużą dozą poczucia humoru.

„Tchnienie” Duncana Macmillana (w przekładzie Anny Gujskiej) w ustach Justyny Kowalskiej i Mateusza Rusina brzmi tak, jakby było wypowiedziane na jednym oddechu. Głębokie pokłony dla tego tandemu oraz podziękowania za wpuszczenie nas do świata bohaterów i podzielenie się ich rozterkami, wątpliwościami, namietnościami, ale przede wszystkim miłością do drugiego człowieka, rozumianą nie tylko w kontekście damsko-męskim. Utrzymanie uwagi widzów przez 90 min. na zupełnie pustej scenie, na której aktorzy są nie tylko bohaterami, ale również rekwizytami, scenografią, zmianą miejsca, czasu i akcji – są wszystkim – to naprawdę nie lada wyzwanie. Czapki z głów. Powiedzieć o tych dwoje, że zgrany z nich duet to zdecydowanie za mało. Oni są po prostu do szpiku kości przekonujący. Aż chce się ich przytulić. Brawa należą się także Grzegorzowi Małeckiemu (do tej pory znanemu publiczności przede wszystkim z ról aktorskich), debiutującemu tekstem Macmillana w roli reżysera, za wysoką wrażliwość, umiejętny dobór aktorów i poprowadzenie ich we właściwą stronę. Spędzając półtorej godziny z bohaterami przypominały mi się słowa Cem Ekmekcioglu, autora książki pt. „Dotknij mnie. Dlaczego dotyk jest dla nas tak ważny”. Pozwólę je sobie zacytować: „większość tego, co chcemy powiedzieć, komunikujemy (...) spojrzeniami, gestem i dotykiem. Dotyk jest pierwszą mową, której się uczymy, intensywniej docierającą do rozmówcy niż każda inna forma porozumienia”. Mimo iż spektakl opiera się na słowie, praca Justyny Kowalskiej i Mateusza Rusina to dowód na to, jak wiele można powiedzieć mową ciała. To co? Nie zwlekaj za długo i po prostu się przytul!

Karolina Czepkiewicz

W obliczu zarazy...

Do czego zdolny jest człowiek, któremu znienacka została ograniczona wolność? Jak bezradny jest świat w obliczu epidemii, która zagraża całej populacji?



Te pytania towarzyszą nam podczas spektaklu "Zaraza" Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Każdemu z nas dobrze znany jest scenariusz kwarantanny i epidemii COVID-19, która spowodowała lockdown i przedłużające się tygodniami zamknięcie w domach. Jednak jeszcze kilka lat temu, gdybyśmy o tym usłyszeli, uznalibyśmy to za absurd; przecież taka skala rozprzestrzenienia się niebezpiecznego wirusa jest nie do pomyślenia przy obecnym zaawansowaniu medycyny. I, jak mogliśmy się przekonać, byłibyśmy w dużym błędzie.

Pięć postaci, pięć różnych umysłów i pięć sposobów postrzegania świata daje pięć odmiennych sposobów radzenia sobie z dotykającymi go problemami. Czy zagrożeni chorobą, obawiając się zakażenia, zamknijemy się w domu? Czy może to będzie świetna okazja do zarobienia pieniędzy? Może to właśnie ten czas sprawi, że będziemy mieli szansę do przeanalizowania swojego życia i zdania sobie sprawy, że wcale nie jest tak białe, jak mogło się zdawać i posiada też ciemniejsze barwy? Każdy z bohaterów przedstawia nam całkiem inny pogląd na epidemię; podczas trwania spektaklu możemy zauważyć, jak sobie z nią radzą: z ambiwalentnymi emocjami, które nimi targają, reakcją na śmierć bliskich im osób, czy zatracaniu się coraz bardziej w "szaleństwie zamkniętego świata". To czas, kiedy muszą uporać się ze "swoim własnym ja" i zajrzeć w głąb siebie.

"Zaraza" to współczesna adaptacja jednego z najbardziej znanych utworów literackich wszechczasów - "Dżumy" Alberta Camusa. Perfekcyjna gra aktorów kieleckiego teatru i fakt, że podczas oglądania możemy utożsamiać prze-

życia bohaterów ze swoimi własnymi sprawami, że przedstawiana historia do głębi wciąga nas w swój bieg. Wisienką na torcie jest muzyka i efekty dźwiękowe, które przyprawiają widza o skrajne emocje i potęgują fascynację wystawianą sztuką. Ponadczasowe, genialne i emocjonujące - to trzy słowa, które idealnie odzwierciedlają moje spojrzenie na to przedstawienie. Spektakl uważam za fenomenalny, śmiem nawet twierdzić, że to jeden z najlepszych, w jakich kiedykolwiek miałam okazję uczestniczyć. "Zaraza" Uny Thorleifsdottir na długo pozostanie w mojej pamięci.

Kamila Bąk



Wciąż jest nadzieja

Trzeciego dnia Kaliskich Spotkań Teatralnych prezentowany był spektakl „Tchnienie” w reż. Grzegorza Małeckiego z Teatru Narodowego w Warszawie.



Pewnie część z widzów zastanawiała się, czy na pewno trafiła do dobrej sali - w końcu nie ma tutaj żadnej scenografii, tylko czarne zasłony i czarne deski. Na scenie pojawia się Kobieta i Mężczyzna - tylko tyle i aż tyle. I w takiej konfiguracji można się spodziewać wiele - mogło być miło i przyjemnie i było do pewnego czasu, ale było też bardzo smutno, czuło się wiszącą w powietrzu bezradność.

Zaczyna się dosyć klasycznie, jest Kobieta (Justyna Kowalska) i Mężczyzna (Mateusz Rusin). Podczas wyprawy do Ikei Mężczyzna porusza temat posiadania dzieci, co doprowadza jego partnerkę do słowotoku i oczywiście wywołuje również stres (choć kilkakrotnie bohater podkreśla, że to żaden stres, absolutnie nic z tych rzeczy). I tutaj zaczyna się fala słów, mieszanka nastrojów, próby wysłuchania drugiej osoby, nazywania uczuć i oczekiwań. Po raz kolejny podczas kaliskiego festiwalu poruszany jest temat katastrofy klimatycznej, a przede wszystkim tego, jak na planetę wpływa niekontrolowany przyrost naturalny. Jedną z postaci nawet dokładnie wylicza z jakim obciążeniem będzie musiała się zmierzyć Ziemia po urodzeniu jednego dziecka. Te wszystkie argumenty bycia gotowym czy też nie, świadomym dobiegającego końca ziemi i tak są nic niewarte po zobaczeniu pozytywnego wyniku testu ciążowego. Jedne uczucia znikają, by dać miejsce innym - radości, ekscytacji, chęci obdzwonienia rodziny (nawet jeśli niekoniecznie się ją darzy wielką sympatią). Kiedy myślimy, że tutaj już wszystko pójdzie jak z płatka, a nasze postacie będą żyły długo i szczęśliwie, to nic bardziej mylnego. W kolejnych scenach para musi się zmierzyć z utratą ciąży i próbować dalej żyć - razem czy osobno, to wszystko wyjdzie z upływem czasu.

Powiedzieć, że ten spektakl porusza nietrywny temat to jak nie powiedzieć nic. Towarzyszymy bohaterom w całej gamie uczuć, których doświadczają. Zastanawiamy się razem z nimi nad sensem posiadania dzieci, cieszymy się, gdy widzimy pozytywny wynik testu, odczuwamy ból po stracie, zadajemy sobie pytanie co będzie dalej, czujemy się bezradni, dopuszczamy się zdrady. Jednak na tym nie koniec tej historii, bo choć nie dostajemy recepty jak żyć, wiemy na pewno, że żyć warto. Dalej i mimo wszystko. Wciąż jest nadzieja - i to jest najważniejsze.

Lauka Anszet

Porozmawiajmy...



Przyznaję, że po festiwalowym pokazie „Tchnienia” z Teatru Narodowego w Warszawie nie obiecywałem sobie zbyt wiele. Premiera przedstawienia Grzegorza Małeckiego odbyła się niemal cztery lata temu i wtedy mało mnie ono obeszło. Sztuka Duncana Macmillana już wówczas cieszyła się opinią międzynarodowego przeboju, ale wydała mi się przereklamowana. Doceniałem reżyserską próbę znakomitego aktora, decyzję, by wyjść ze strefy własnego komfortu i poszerzyć swoje pole walki, ale wtedy, we wrześniowy wieczór w 2018 roku w Warszawie, „Tchnienie” odbierałem raczej jako błahostkę bez większego znaczenia. Z szacunkiem, ale bez większych emocji.

Bywa tak, że festiwalowe prezentacje zabijają przedstawienia. Kiedyś na gdyńskim Raporcie czekałem bardzo na jeden z moich ulubionych spektakli, upatrując w nim głównego kandydata do ostatecznego zwycięstwa. Nic z tego nie wyszło, bo widowisko na obcej scenie i w nieokreślonych przez artystów warunkach okazało się spętane, pozbawione siły, emocjonalnie wystudzone. To nie była inscenizacja, jaką pamiętałem.

Zdarza się jednak również, że granie poza domem wyzwala w inscenizacjach nowy, nieprzeżywany dotąd potencjał. Niby to już widziałeś, wiesz, jak historia się skończy, a mimo to przecierasz oczy ze zdziwienia. Bo zwykły teatralny seans zmienia się we wspólny lot publiczności i aktorów. Grają jak natchnieni, wyciskają ze swych ról więcej niż to się wydawało możliwe. I to jest właśnie przypadek kaliskiego pokazu „Tchnienia”.

Ona i on – Justyna Kowalska i Mateusz Rusin. Grają na pustej scenie, bez dekoracji, rekwizytów, w prywatnych niemal ubraniach. Są jakby przyszli z pobliskiego parku, gdzie spacerując niezliczonymi alejkami zagadywali swoje życie.

Miejsca akcji i czasy zdarzeń zmieniają się nieznacznie liczbą razy, teraz jesteśmy w IKEI, za chwilę w domowej kuchni, potem w wannie, po czym z bohaterami w łóżku – wszystko w mgnieniu oka. Wystarczy krótka pauza w rozmowie, odwrócenie oczu, pół obrotu, by minął dzień, miesiąc, rok, a ona i on znaleźli się w całkiem innym punkcie życia. „Tchnienie” to teatr robiony z niczego, na pustej podłodze, ale nic więcej nie trzeba. Spektakl wprost idealny na Festiwal Sztuki Aktorskiej, bo jest skromnym, pisany małymi literami manifestem wiary w aktorstwo właśnie. Wyrazem przeświadczenia, że wystarczy aktorka i aktor, by stworzyć na scenie cały świat. Zobaczyć go na własne oczy, choć go przecież nie ma.

W „Przed wschodem słońca” Richarda Linklatera, jednym z moich ulubionych filmów, Julie Delpy i Ethan Hawke niespiesznie włóczyli się po nocnym Wiedniu, zaglądali do otwartych do ostatniego klienta kafejek, łazili po ulicach i uliczkach, wchodzili na podwórza kamienic, w zarośnięte zagajniki. I rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali. „Tchnienie” ma w sobie coś z klimatu tego filmu i też jest niekończącą się rozmową. Czasem gorzką, o sprawach ważnych, za chwilę zaś o absolutnych błahostkach. O wszystkim i o niczym. Justyna Kowalska i Mateusz Rusin rozmawiają ze sobą, ale - co równie ważne - z czułością się słuchają, reagując na każde drganie emocji partnerki i partnera. Ona ma w sobie ostrość, pod którą kryje się zagubienie i pragnienie,



by ktoś ją wreszcie przytulił – tak po prostu. On pod słowami chowa bezradność dorosłego faceta i ukazuje to przejmująco. Skutek? Oglądam „Tchnienie” w Kaliszu ze wzruszeniem i jest to jedna z moich prywatnych festiwalowych niespodzianek.

„Zarazę” z kieleckiego Teatru Żeromskiego traktuję zaś jako spotkanie z Joanną Kasperek, która w spektaklu islandzkiej reżyserki Uny Thorleifsdottir zagrała doktor Rieux. W „Dżumie” Camusa był doktor Rieux, w sztuce Neila Bartletta będącej swobodną adaptacją słynnej powieści Rieux jest poza płcią. Tak ukazuje go wybitna aktorka kieleckiego teatru, w podobnej roli jej dotąd nie widziałem. Jej Rieux ma w sobie ostrość spojrzenia na świat pograżony w epidemię i jednocześnie przerażenie owym światem. Wszystko to jest w szeroko otwartych oczach Joanny Kasperk. Tych oczu z kieleckiego przedstawienia nie zapomnę.

